WYCHOWANIE I NAUCZANIE.

III.

PAMIĘĆ A MYŚLENIE.

Jednym z największych darów jakie życie daje człowiekowi — jest Myślenie. Ono to stawia człowieka ponad wszelkiem znanem na ziemi stworzeniem, jest bowiem tą władzą, która przenosi go po za świat i po za siebie samego i uczy patrzeć, pytać, badać, odgadywać — dając mu moc stwarzania świata i siebie, niezależnie od tego jak został stworzony świat i on, bez jego współudziału.

Oficyalne wychowanie i nauczanie odziera człowieka i z tego daru tak czysto wewnętrznego — tak ściśle związanego z człowieczeństwem, jako cecha wyłącznie ludzka, niezależna od zewnętrznych ogólnych przejawów życia.

Zatracają ten wielki dar — to tchnienie boże, jak pięknie zwą go legendy religijne — nie tylko ci, których twarda walka o byt zamienia na bydło robocze i wszelkich cech ludzkich pozbawia, lub ci którzy z racyi swojego posłannictwa czy urzędu, obowiązani są podawać i uznawać bezkrytycznie dogmata za prawdę — a nakazy za prawo — ale i ci, (a bodaj czy nie więcej jeszcze) których warunki życiowe postawiły w możności czerpania ze wszystkich źródeł, jakie dla ducha ludzkiego tryskają z pogłębiających się wciąż pokładów wiedzy.

Kluczem otwierającym tajemnicze skarbce wiedzy, do których duch ludzki składał przez wieki i tysiąclecia zdobyte prawdy — aby stały się własnością, przekazaną przez dusze wybiegające niegdyś w przyszłość, duszom szukającym w przeszłości drogi po której przyszły — jest Pamięć. Ona to przyswaja nam prędko i bez wysiłku zdobyte przez innych prawdy, oszczędzając długiej i mozolnej drogi, jaka do zdobycia ich wiodła i pozwala uzupełniać doświadczenia innych własnemi spostrzeżeniami, tworząc tym sposobem nieustający postęp ducha ludzkiego — czyli tzw. kulturę. Dziwne drogi jakiemi szło myślenie dotychczasowych wychowawców i nauczycieli, doprowadziły do systemu, który posiłkował się pamięcią jako kluczem — nie do otwierania ale do zamykania skarbnic wiedzy, jako źródeł mądrości, bo nie zrozumienie przekazanej prawdy, ale zapamiętanie określającej ją formułki, stało się formą nauczania.

To, że mądrość wyrażająca się myśleniem nie jest tylko zapamiętaniem pewnej liczby faktów, nazwisk, dat i formułek było rzeczą uznaną, wypowiedzianą jako pewnik, ogłaszaną przez wielu ludzi i przed wieloma wiekami – mimo to do dziś dnia pewnik ten zdaje się zupełnie nie istnieć dla urzędowych przedstawicieli i kierowników wychowania i nauczania młodzieży. Ćwiczenie pamięci staje się celem, nie środkiem prowadzącym do samodzielnego myślenia – przyswojenie umysłowi tego, co sformułowali inni, pochłania całkowicie władze umysłu rozwijającego się i wyczerpuje je aż nazbyt często do tego stopnia, że sam on z siebie nic już wysnuć nie potrafi. Gdybyż przynajmniej te zdobyte już przez innych prawdy, tak mozolnie wkuwane w mózgi naszych dzieci, były podane im w całej ich głębokiej, twórczej treści, sięgającej do głębi przedmiotu — otwierałyby im oczy na życie i dla nich samych stałyby się siłą ożywiającą i twórczą. Ale z tej niesłychanej mnogości przedmiotów jakiemi obładowuje się w szkołach pamięć młodzieży ze szkodą ich zdrowia najczęściej, wyjaławia się umysł miast się użyźniać — bo formułki i szemata najpilniej wyuczone, zapomina się bardzo prędko a gdy nie było rozumienia nie zostaje z nich nic.

Weźmy jakikolwiek przedmiot naukowy, pominąwszy już naukę języków, tak wytrwale wbijającą małym dzieciom reguły gramatyczne, których one nie rozumieją, kiedy żywą mową i praktycznemi ćwiczeniami możnaby je tak prędko do poznania obcej mowy doprowadzić. Z nauk przyrodniczych np. opis zwierzęcia lub rośliny najbardziej znanej — nie pozwolił by odgadnąć bardzo często najbystrzejszemu umysłowi, nazwy istoty o której mowa – tak dużo tam nazw i określeń technicznych, tak mało prawdy z życia i o życiu. Albo zdumiewające bogactwo zabytków kultury greckiej i rzymskiej — które mogłoby tak ogromnie rozwijać myślenie i poczucie piękna zamienione na torturę bezowocną pamięciowego owładnięcia gramatycznemi prawidłami martwego języka, lub zapamiętania nazw poszczególnych części rysunków, rzeźb, symbolów — po za którymi była myśl i było piękno — nie w nazwie ale w rzeczy samej.

Jednem z głównych zadań pedagogii i dydaktyki współczesnej, musi stać się zrozumienie tej prawdy że: myślenie jest największym przywilejem człowieka, że rozwijać tę władzę należy przedewszystkiem, ponieważ ona jedna podnosi i wzbogaca istotnie zarówno jednostkę jak ludzkość — że pamięć ma być środkiem w rozwoju człowieka a nie celem, — i że wychowanie zarówno domowe jak szkolne — zaniedbujące rozwoju władz duszy dziecka, w kierunku przyuczania go do samodzielnego myślenia — krzywdzi je i niepowetowaną szkodę społeczeństwu swojemu przynosi.

Marya Turzyma.

OD REDAKCYI.

Osoby zalegające z prenumeratą za czas ubiegły prosimy o jak najrychlejsze wyrównanie jej. Przypominamy również, **że czas odnowić przedpłatę na bieżący kwartał** — celem uregulowania nakładu.

KOBIETY W SŁUŻBIE PAŃSTWOWEJ W AUSTRYI.

Bezbronność kobiety w walce o byt i wywołana nią konieczność przestawania na małem, stały się dla prywatnego kapitalisty ważnym bodźcem masowego zatrudniania rąk kobiecych we wszystkich gałęziach pracy, niewymagających znacznej siły fizycznej. Nieubłagane prawo kapitalistycznej konkurencyi, które deptać każe przeciwnika każdemu, kto sam nie chce być zdeptanym oraz nienasycona gorączka zysków nadaje każdej drobnej nawet, oszczędności na kosztach produkcyi, umożebnionej ulepszeniami technicznemi lub też niższą zapłatą robotnika — znaczenie tak ważne w zapasach rynkowych, że już sam mechanizm współczesnego życia gospodarczego tłumaczy, dla czego rozmaici obrońcy „ogniska domowego" zatrudniania kobiet zrzec się nie chcą i nie mogą. Dziwnem się tylko wyda, że to samo prywatno-kapitalistyczne stanowisko wobec pracy kobiet zajął i chlebodawca, chroniony nie tylko przed konkurencyą rynkową monopolami, ale głoszący wszem i wobec, że nie zyski lecz dobro ogółu kieruje jego gospodarczą działalnością, słowem — Państwo.

Trzydzieści lat temu zaczęto po raz pierwszy zatrudniać kobiety w austryackiej służbie państwowej, a mianowicie przy t. zw. nieskarbowych pocztach i urzędach telegraficznych. Zebrane tutaj doświadczenia, zadowolenie publiczności oraz pochwały oddawane kobiecym urzędnikom przez ich przełożonych, otwarły kobietom dalszą drogę do służby państwowej i w r. 1871 spotykamy już telegrafistki w państwowych urzędach telegraficznych, w r. 1874 manipulantki pocztowe, a w latach 80-tych, wraz z upaństwowieniem niektórych linij kolejowych zatrudniających niewieście siły, przeszły pierwsze urzędniczki kolejowe w służbę państwową. W tym samym prawie czasie otwarte zostały pierwsze pocztowe Kasy oszczędności w Austryi, zaraz w pierwszym roku istnienie zatrudniające kobiety a w 10 lat później Ministeryum handlu, Dyrekcya policyi i inne władze posługiwać się poczęły kobiecemi siłami.

W roku 1900 przeszło 8.950 kobiet w Austryi miało zajęcie w służbie

państwowej — a liczba ta ciągle wzrasta. Pensya ich jest stale niższą od pensyi mężkich kolegów i urzędników pełniących te same funkcye. Wysokość jej waha się w pierwszym roku służby 54—75 Kr. miesięcznie czyli 67 do 70% płacy dyurnisty, 40 do 50% pensyi pełniącego tę samę służbę urzędnika. W ciągu długoletniej służby płaca jej dochodzi w Namiestnictwie do 84 Kr., przy Dyrekcyi policyi do 90 Kr., przy kolei do 110 Kr., w urzędach pocztowych i telegraficznych 120 do 150 Kr. miesięcznie, pozostając zawsze znacznie w tyle po za płacą urzędników mających te same mniej więcej kwalifikacye i te same lata służby. Prócz tego nie ma zagwarantowanych praw do awansu, nie ma państwowego ubezpieczenia na wypadek stałej niezdolnosci do pracy, starości, nie może przejść do wyższej kategoryi służbowych itd. Ta sama praca, takaż sama odpowiedzialność, te same obowiązki — tylko inne prawa...

Kobieta zjawiła się na rynkach pracy później od mężczyzny, chcąc go wyprzeć musi współzawodniczyć z nim taniością swej siły roboczej i taniością tą obrońcom ładu i porządku dopomóc do zerwania z tradycyą, musi zgodzić się na gorsze warunki, bo inaczej — czemuż odrywać ją od jej rozmaitych, naturalnych powołań? Na równi z prywatnym kapitalistą korzysta i państwo — „lecz nie“ powiada Jan Nawiasky autor książki „Kobiety w austryackiej służbie państwowej“ *) — „ono nie korzysta z pomyślnej dlań konjunktury rynkowej, lecz zapłatę waży i mierzy słuszną miarą potrzeb poszczególnych grup i jednostek urzędniczych.“

Treścią stosunku państwowo-służbowego nie jest bowiem kupno i sprzedaż jak w prywatnym najmie, lecz po stronie urzędnika — obowiązek starania się o dobro pracodawcy, wybiegający po za szczuple ramy zawodowej pracy — po stronie państwa — piecza o dobro oddających mu całą swą pracę ludzi, objawiająca się w pewnem liczeniu się z ich potrzebami w ubezpieczeniu na starość, w opiece nad sierotami i t. p. Kobieta zdaniem Nawiasky'ego a najwidoczniej i zdaniem miarodajnych sfer w Austryi ma mniejsze potrzeby od mężczyzny, słuszna zatem by nawet za tę samą pracę mniejszą zapłatę w służbie państwowej pobierała.

Wiara w „mniejsze potrzeby“ kobiet jest szeroko rozpowszechnioną i jak większość popularnych wiar i prawd tkwi nie w istotnych stosunkach lecz w samolubstwie jednych, bezmyślności zaś drugich. Pewnemu wydatkowi energii odpowiada równaż jej utrata w organizmie mezkim jak i kobiecym, reprodukcyą energii rządzą tu i tam te same prawa. Pod względem fizyologicznym potrzeby kobiet są zatem równe męzkim t. j. wysokość ich jest ściśle wydatkami organizmu określona. Większość pracujących fizycznie kobiet przy niższej płacy gorzej też się odżywia, ale w rezultacie następuje

*) Hans Nawiasky: „Die Frauen im österreichischen Staatsdienst“. Wien und Leipzig 1902. Wiener staatswissenschaftliche Studien.

deficyt wyrównywany kosztem piękności i zdrowia. Wczesne starzenie się kobiet z ludu, ich straszna zgrzybiałość, oto odwrotna strona tego poprzestawania na małem „der verfluchten Bedürfnisslosigkeit“, która jest tylko raną na społecznem cicle.

Jeśli w miejsce fizyologicznego tłumaczenia podstawimy społeczno-historyczne i określimy „potrzeby“ miarą kulturalnego rozwoju danego kraju i poszczególnych klas to również różnic między obu płciami dających się znakiem „plus“ lub „minus“ wyrazić nie znajdziemy. Rodzina, wspólnota obejmująca kobiety na równi z mężczyznami, równąż kulturę wpaja w nich już w zaraniu życia, młodość w tych samych warunkach szczęścia szukać każe, ku tym samym wygodom skłania się ich wiek starszy. U szczytów — perły i jedwabie po jednej — kosztowne sporty po drugiej stronie, w nizinach — krasa chustka, zaś cygara lub szklanka piwa z drugiej doprowadzają wagę potrzeb męzkich a kobiecych do równowagi.

Znajomość szycia, prania itp. czynności gospodarskich ułatwia na pozór kobiecie walkę życiową, zmniejsza jej wydatki na opłacanie cudzej pracy, ale pochłania za to czas tak cenny i drogi w krótkich chwilach wytchnienia po pracy zarobkowej. Kobieta-gospodyni spełnia mnóstwo czynności, do których brak jej fachowego uzdolnienia z rozrzutnością nędzarza, nie mającego nic do stracenia, lecz kobieta zarobkująca ma na równi z zarobkującym mężczyzną prawo do zrzucenia z siebie ciężaru nie fachowych zajęć, do użycia wolnego czasu dla siebie, dla swoich, na wypoczynek i na rozrywkę. Gorzej od swych męzkich kolegów opłacana, kobieta-urzędniczka nie opłaca usługi, prania — dlatego, że brak jej środków po temu, że żyjemy w ustroju gospodarczym, w którym nie dochody mierzy się miarą potrzeb lecz potrzeby gwałtem przystosowywać trzeba do dochodów a słabe społecznie grupy prawa do wielkich dochodów nie mają.

„Kobiety mają mało potrzeby“...

Ale p. Nawiasky podaje jedną jeszcze przyczynę nizkich płac kobiecych urzędników w służbie państwowej: ich przymusowe dziewictwo. Z małym nader wyjątkiem do służby państwowej dopuszczane są tylko kobiety niezamężne, a zamężcie pociąga za sobą w zasadzie utratę zajmowanej posady. Urzędy pocztowe wykluczają nawet wdowy i rozwódki z małoletnimi dziećmi — pensya urzędnicza mająca służyć mężczyznom do utrzymywania rodziny, służy kobiecie tylko do utrzymania własnej osoby.

Zakaz zawierania związków małżeńskich pociąga z sobą tłumną ucieczkę kobiecych urzędników z wyższych lat służbowych a zatem i z wyższych pensyj, tak że przeważna ich liczba służy państwu w zamian za wynagrodzenie miesięczne w kwocie 50—74 Kr. — sumę zbyt lichą na zaspokojenie najskromniejszych nawet wymagań jednostki.

Po latach kilkunastu, gdy podwyższona awansem pensya, mogłaby już zapewnić skromną egzystencyą, otwiera się przed starzejącą się w służbie

państwowej kobietą perspektywa strasznego moralnego głodu, pustki życiowej, której zaspokoić nie może najszybsze nawet załatwianie „stron“ najzwinniejsza sprzedaż znaczków pocztowych lub kart kolejowych. Zarzuca więc p. Nawiasky kobietom, że nie czują swej godności urzędniczej, że mało mają miłości do swego zawodu, że spełniają swe obowiązki z pewną mechaniczną dokładnością, nie wkładając w swą pracę cząski nawet swej duszy. Są za mało biurokratami i w tem ponoć ich niższość wobec mężczyzn, w tem też źródło obawy, że na wyższych stanowiskach nie podołałyby swoim obowiązkom i upadły pod ciężarem wymierzonym na silniejsze barki. Szkoda tylko, że autor i ci wszyscy, co mu w pracy pomocą byli, udzielali opinii i wiadomości, zapomnieli przy charakteryzowaniu pracy urzędniczek a tak chętnie zresztą powtarzanej prawdzie, że macierzyństwo jest przeznaczeniem kobiety, że kobieta par excellence — to matka. Zakaz małżeństwa, wśród panujących obecnie pojęć moralnych, to zakaz macierzyństwa, państwo więc ma w swojej służbie albo dziewczęta nie dojrzałe jeszcze do powagi życiowej, albo zgorzkniałe brakiem rodzinnego życia, ale nie ma kobiet żyjących pełnią życia, mogących z bogatej duszy czerpać, tak wiele by dla zawodu i świata starczyło.

Czemu państwo kobiety zamężne z służby swojej wyklucza — ależ naturalnie — k'woli domowego ogniska. Nawiasky, obrońca istniejącego porządku, zaznacza parokrotnie z naciskiem — a książkę jego wydał instytut pozostający pod kierownictwem znanego socyal-polityka prof. E. Philippovich'a — tak głęboką i daleko idącą sprzeczność między obowiązkiem kobiety-żony a kobiety-urzędnika, że tylko stanowcze out-out może być nań odpowiedzią. Wszakże § 92 ust. cyw. powiada, że żona jest zobowiązana towarzyszyć mężowi w miejsce jego pobytu. O miejscu pobytu urzędnika w niższych zwłaszcza latach służby, rozstrzyga w pierwszej linii jego chlebodawca — państwo. Obowiązek dzielenia miejsca pobytu męża jest dla żony prawnem następstwem zawartego małżeństwa i nie może być drogą prywatnych układów między nią a mężem prawomocnie i nieodwołalnie unicestwionem. Dekret urzędniczy stwarzałby zatem dla zamężnej kobiety dwóch panów, stawiałby ją snadnie wobec konieczności wybierania między prawnym a służbowym obowiązkiem — wobec kolizyi bez wyjścia.

§ 92 austryackiej ust. cyw. to pomnik z owych czasów, w których praca męża w regule wystarczała na utrzymanie rodziny. Jest on naturalnem dopełnieniem § 91 nakładającego na męża obowiązek utrzymywania żony. Praca zarobkowa kobiet występująca jako zjawisko masowe jest wymownym dowodem, że czas oba te paragrafy treści i racyi bytu pozbawił. Prócz tego jest § 92 austr. ust. cyw. również wyrazem tego przywiązania do gleby, które cechowało wieki średnie, tej nieruchomości, która kazała „tu żyć i tu umierać“, bo wokół dla chcących pracować było chleba podostatkiem, dal zaś

nieznana nęciła wprawdzie fantazyą jednostek swą tajemniczością, lecz na „statecznych“ ludzi uroku nie wywierała żadnego.

Zmieniły się czasy. Ze wsi do miasteczek, z miast do stolic, z okolic o niższej płacy do krajów o wyższych zarobkach i wyższej kulturze odbywa się wędrówka trwała, ustawiczna i stokroć od owej intenzywniejsza, którą historya pysznem mianem „wędrówki narodów“ uczciła. Powstały liczne gałęzie zarobku, które ludzi zmuszają do ustawicznej zmiany miejsca pobytu, do życia w wagonie, w hotelach. „Żyd wieczny tułacz“ toż niemal prototyp nowoczesnego agenta handlowego, konduktora, wyrobnika dziennego, a nawet robotnika wiejskiego, który życie pędzi np. między wsią galicyjską, saską lub pruską. Kto zliczył ile godzin na dobę spędza w przecięciu niższy urzędnik kolejowy w gronie rodziny? Kto badał rodzinne życie „Sachsengangerów“? Cicho o tem i głucho i gdy kobieta warstw średnich pragnie własną pracą dobić się możności utrzymania siebie i swej rodziny przypomina jej § 92, że małżeństwo to stałe pożycie we dwoje, wieczna idylla, której zakłócić nie zdołał nawet — kapitalizm.

I w rzeczy samej – z obowiązkami żony pojętymi wyłącznie w ciasnym duchu istniejących ustaw, praca zarobkowa w teoryi przynajmniej pogodzić się nie da. Ale ponad prawnym stosunkiem żony do męża ponad formę małżeńską, która wielu przeobrażeniom ulegała i dalej ulegać im będzie, stoi stosuek wieczyście niezmienny, wieczyście ten tam, stosunek matki do dziecka, rodzicielki, opiekunki i wychowawczyni. Stanowisko urzędnika, wolne od niepewności jutra, wolne od targających nerwy walk zarobkowych, niszczących zdrowie niewywczasów, nadaje się najlepiej dla — zmuszonych do zarobkowania — matek. Kobieta-urzędnik najłatwiej posiąść może ten spokój ducha, który potrzebnym jest dojrzewającemu w jej łonie dziecku, który każdy krok i czyn wychowcy młodego pokolenia cechować powinien.

Niemożność dogodnego zarobkowania źródła nędzy nie usuwa, konieczności zarobkowania nie zmniejsza. Stwarza tylko masową podaż kobiecych rąk roboczych w gałęziach pracy mniej dogodnych, w mniejszym stopniu dających się pogodzić z ich rodzinnymi obowiązkami i przyjemnościami i przez owo skupianie podaży w paru punktach wywołuje dalszą zniżkę w cenie kobiecej pracy. Ci, co w imię obowiązków rodzinnych kobiety zamężne, do posad urzędniczych dopuścić nie chcą, niech zajrzą do fabryk, do warsztatów, na pola burakowe, niech obliczą ile czasu np. zajęte w konfekcyi szwaczki mimo pracy w domu dzieciom poświęcić się mogą, niech zapytają własnego sumienia jakie od lat dwudziestu czynili zabiegi, by ustawodawstwo ochronne dla kobiet rozszerzyć i pogłębić a wstydem zdjęci przyznają chyba wkońcu, że praca biurowa matek — najmniejsze zło w sobie mieści. A że nie licuje ona z tem, co paragrafy austryackiej ustawy za treść małżeństwa uważają — tem gorzej dla paragrafów...

O zdolności kobiet do spełniania wyższych, samodzielnych czynności urzędniczych w administracyi, w sądownictwie itp. sprzeczać się z p. Nawiasky'm nie będę. Gdy daną im będzie możność odbycia studyów prawnych — a kobiety z warstw średnich w tym kierunku wszystkie siły wytężyć powinny — pokażą światu swoją pracę i dadzą tem możność sądu opartego na doświadczeniu nie zaś na przesądach.

Helena Gumplowicz.

KRONIKA.

Prawo podawania petycyi do parlamentu udziela tym, którzy nie posiadają prawa wyborczego, ani obieralności, możności brania udziału w życiu politycznem, a nawet wprost w pracy ustawodawczej.

Petycya wprowadza petenta na trybunę i pozwala mu podejmować inicyatywę nowych zarządzeń. To też kobiety we wszystkich krajach w szerokich rozmiarach korzystają z tego prawa, idąc już po drodze którą im tradycya wyrównała. Już bowiem w roku 1643 pojawia się w parlamencie angielskim petycya podpisana przez kobiety, proszące o zawarcie pokoju. Utrzymana w tonie niezmiernie pokornym, schlebiająca członkom Izby, których umysły nazywa „bystremi jako wzrok orła," rozpoczyna się od słów:

„Wasze biedne petentki aczkolwiek należą do płci słabszej, jednak widzą jasno....." Petycya ta wraz z kończącą ją obietnicą: „modlić się będziemy za Was jak to jest naszym obowiązkiem" stanowi wymowny dokument, świadczący, o ile od tych czasów kobieta postąpiła w samopoczuciu swej siły i godności.

W bliższej nam epoce dopiero w r. 1829 podają kobiety angielskie petycyę, nad której przyjęciem parlament obradował i przyjął ją po zbadaniu protokołów dawnych posiedzeń i przekonaniu się, że nie istnieje żaden precendens, któryby wzbraniał kobietom je wnosić.

We Francyi w r. 1789 „petycya kobiet 3 klasy do króla swego" malowała smutne położenie robotnic i domagała się poprawy ich bytu. Podczas rewolucyi nie omieszkały kobiety korzystać z prawa petycyi. W r. 1851 chciano je tego prawa pozbawić na zasadzie, że chodzi o sprawę przystojności publicznej i godności parlamentu, która to godność mogłaby być naruszoną, gdyby jednę petycyę w jednym duchu wniósł mąż, a drugą w duchu wprost przeciwnym podpisała żona.

Wniosek ten jednak upadł. *N. L.*

W sprawie handlu dziewczętami odbyły się w zeszłym miesiącu w redakcyi „Nowego Słowa" dwie pogadanki mające na celu omówienie kwestyi, która zajmuje obecnie bardzo żywo wszystkie postępowe umysły, mianowicie kwestyi obyczajowej i ściśle z nią związany handel dziewczętami (White Slave traffie, Traite des blanches).

Pobudką do pierwszego zebrania było przybycie do Galicyi p. Pappenheim z Frankfurtu, która wraz z drem Rabinowiczówną wydelegowaną została przez „Komitet międzynarodowy dla handlu dziewczętami" dla zbadania przyczyn tej okoliczności, że 90% dziewcząt wywożonych z Europy do domów publicznych w innych częściach świata, pochodzi z Galicyi (8 do 10000), która według słów prelegentki (p. Pappenheim), „jest zródłem niebezpieczeństwa i zarazy dla całego świata, ogniskiem niemoralności i zdziczenia obyczajowego wśród mężczyzn." Jako przyczyny tego stanu rzeczy uważa p. Pappenheim trzy czynniki główne: a) wychowanie zaniedbane, zarówno w domu jak i w szkole — b) chęć do pracy zupełnie nierozwinięta c) warunki pracy złe lub zupełny brak takowej. Jako środki zapobiegawcze podała referentka zakładanie stacyj ludowych ochronnych, mianowicie:

przytułków dla położnic i niemowląt — szkół pielęgnarek chorych i dzieci — żłobków, ochron — szkół zawodowych — wszystko to pod opieką uświadomionych kobiet z inteligencyi, któreby stały się krzewicielkami kultury i zamiłowania do pracy.

Wobec zapowiedzianego odczytu dr Waldmana przedstawiciela na Galicyę „A u s t r y a c k i e j l i g i d l a h a n d l u d z i e w c z ę t a m i omawiano szeroko plany utworzenia miejscowej organizacyi. Wbrew akcyi dzielącej po innych miastach komitety zawiązane dla zwalczania handlu kobietami, na żydowskie i chrześcijańskie rozmaitych obrządków, uznano, że ze względu na pomyślny rozwój pracy, należałoby zawiązać komitet mięszany bez względu na wyznanie. Z jednej strony idzie o pozyskanie zaufania wśród żydowskiego praletaryatu z pośród którego rekrutuje się największy procent żywego towaru dla zamorskiego exportu, do czego lepiej nadają się współwyznawczynie żydówki z klas inteligentnych — z drugiej strony dla porozumiewania się z władzami i starań o prawodawczą ochronę dla dziewcząt proletaryatu oraz dla szerokiej propagandy uświadamiania ogółu kobiet co do ich praw i obowiązków koniecznem jest współdziałania kobiet wszystkich wyznań a chrześcijanek w pierwszym rzędzie: Zważywszy, że wzrastająca z każdym rokiem ilość dziewcząt padających ofiarą prostytucyi wskazuje już na chroniczną chorobę społeczną, k t ó r ą z w a l c z a ć j e s t o b o w i ą z k i e m k o b i e t w s z y s t k i c h n a r o d o w o ś c i w y z n a ń i k l a s s p o ł e c z n y c h, p o w i n n y w s z y s t k i e k o b i e t y r a z e m j ą ć s i ę t e j p r a c y, o d r z u c i w s z y w s z e l k i e d z i e l ą c e j e w z g l ę d y n i e c h ę c i r a s o w e j, w y z n a n i o w e j c z y k l a s o w e j.

Jaki ma być plan szczegółowy tej pracy nie omawiano bliżej dla braku czasu. Trzeba długiej i wytrwałej agitacyi słowem i pismem zarówno uświadamiającej jak i kształcącej dla podniesienia pojęć moralnych zarówno wśród młodzieży sfer posiadających, jak i wśród ludu, oddziaływania na prawodawstwo przez petycye, wywiady itp. dla uzyskania daleko idących ogólnych reform społecznych; ogrom teoretycznej i praktycznej roboty zapobiegawczej jak i ratunkowej.

Zebrane w Redakcyi kobiety zupełnie jasno zdawały sobie sprawę, że zadanie które podejmują nastręcza niezliczone trudności i niebezpieczeństwa — postanowiły mimo to zabrać się do roboty mierząc „siły na zamiary".

Odczyt Dr Waldmana który odbył się również w Redakcyi Nowego Słowa d. 30 maja zgromadził bardzo liczne zebranie — i wywołał ożywioną dyskusyę.

Ponieważ mamy przyobiecany artykuł o tej kwestyi przez p. Dr. Waldmana nie streszczamy jego bardzo zajmującego referatu zostawiając głos samemu prelegentowi, do najbliższego numeru *Nowego Słowa*.

Handlarze żywym towarem. W Paryżu stanęła w tych dniach przed sądem banda handlarzy żywym towarem, zorganizowana najformalniej jak spółka handlowa. Na czele jej stał niejaki Rigal, właściciel browaru w Bois Colombes pod Paryżem, należący do najwybitniejszych obywateli tamtejszych i bardzo popularny. Główny jego pomocnik, niejaki Dumortier, odgrywał rolę uwodziciela i zapędzał dziewczęta w sieci handlarzy. Na wstrętnym tym procederze zarabiał tyle, że utrzymywał stajnię wyścigową, liczącą 10 koni pełnej krwi. Trzecią w tej spółce, a zarazem najwstrętniejszą osobistością była niejaka Bretonowa, siwowłosa już kobieta, mająca wszelkie pozory poważnej matrony. Specyalnością wiedźmy tej było odwiedzanie szpitali paryskich i poszukiwanie tam dziewcząt samotnych, odbywających kuracyę. — Wobec dziewcząt takich Bretonowa odgrywała rolę osoby dobroczynnej i tkliwej, opiekowała się niemi czule i obiecywała im zajęcie po wyjściu ze szpitala. Gdy dziewczęta, zwabione obietnicami, udawały się do niej, wpadały tam w ręce handlarzy. Zmuszano je nieraz pod groźbą zabicia do nierządu. Banda miała stosunki „handlowe" z Londynem, Nowym Jorkiem, Buenos Ayres, Caracasem i Pretoryą. Za dziewczę niepełnoletnie płacono jej stałą cenę 3125 fraków. Rigal, oprócz browaru i pałacu w Bois Colombes, kupił niedawno wspaniały hotel

w jednem z miast portowych Holandyi. Sąd skazał Rigala na rok, a Dumortiera i Bretonową na dwa lata więzienia.

Dwieście dziewcząt tygodniowo jako stałą cyfrę przeciętną, emigrujących z Galicyi dziewcząt podaje czeskie „Prawo Lidu“ z następującemi uwagami. „Przed kilkoma dniami jechało pociągiem z Krakowa do Pragi piętnaście dziewcząt między 15 a 18 rokiem, przeważnie żydówek galicyjskich, którym towarzyszył jeden żyd. Na zapytanie odpowiadały dziewczęta, że jadą do Nowego Jorku. Współpodróżni wyrażali obawę, że w Ameryce mogą te niedoświadczone dziewczyny zostać zaprzedane do domów publicznych — a pogląd ten potwierdził jeden z konduktorów, który zapewniał, że tymże pociągiem wyjeżdża co dnia znaczna liczba dziewcząt, czasem aż do sześćdziesięciu naraz o które nikt się nie troszczy. Jeden z podróżnych doniósł o tem odbywającemu służbę inspektorowi policyi, który jednak oświadczył że na to nie da się nic poradzić, bo łatwo można się pomylić. Policya wie o nadużyciach ale nie może im zapobiedz jeżeli nie ma do tego specyalnego polecenia. Kiedy podróżny zażądał sprowadzenia wyższego urzędnika policyjnego, przyszedł komisarz Wyborny, który jednak nie miał ochoty mięszać się w tę sprawę, znowu wymawiając się, że łatwo bardzo popełnić pomyłkę. Na naleganie jednak podróżnego udał się z nim do pociągu. Zapytane gdzie jadą, podały wszystkie dziewczęta Amerykę jako cel swojej podróży, a ich przewodnik oświadczył, że zostały mu powierzone i dla tego im towarzyszy. Dziewczęta miały książeczki robotnicze, ale żadna nie mogła się wykazać paszportem. Komisarz oświadczył, że nie da się nic zrobić chyba że zatelegrafuje do Bodenbach, żeby tam bliżej zbadano tę okoliczność.

Dalsze uwagi „Prawa Lidu“ odnoszące się do tej sprawy krytykują obojętność policyi i obawę „pomyłki“ tam gdzie idzie o ochronę młodych dziewcząt, których setki co tygodnia wywożą agenci z Galicyi przez Pragę do Lipska, Drezna, Bodenbach, Hamburga — gdzie podstępnie zostają zwabione kłamliwemi obietnicami do emigracyi za morze. Stwierdzoną jest rzeczą, że w domach publicznych w Buenos Ayres i w południowej Afryce 90% prostytutek są to polskie dziewczęta chrześcijanki i żydówki.

Handel żywym towarem. Otrzymujemy następujące pismo:

„Austryacka liga w celu zwalczania handlu dziewczętami została zatwierdzoną rozporządzeniem Ministerstwa spraw wewnętrznych z d. 12 b. m. l. 46.816. Celem tego centralnego Towarzystwa dla wszystkich krajów austryackich, jest zapobieżenie handlowi i wywozowi dziewcząt za granicę. Liga prowadzi agitacyę przeciw temu handlowi, umieszcza tablice pouczające i ostrzegające w publicznych lokalach (dworcach kolejowych itd.), udziela wszelkich wyjaśnień i rad, pośredniczy w ważniejszych wypadkach wobec władz, uwalnia ofiary handlu dziewczętami i udziela im porady i opieki prawniczej. Rozdziela nadto pieniężne premie za dyskretne wskazanie takich osób, które się tem rzemiosłem i pośrednictwem trudnią; urządza publiczne odczyty i zebrania, wznosi schroniska dla ubogich dziewcząt, poszukujących zatrudnienia i utrzymuje stosunki ze wszystkiemi Towarzystwami, których działalność jest w związku z celami ligi (Towarzystwa Pań, Towarzystwa w celu budowy i zakładania schronisk dla dziewcząt, pośrednictwa w wyszukaniu zatrudnienia i t. d.)

Ponieważ liga dla osiągnięcia tych celów potrzebuje nietylko czynnego, ale też pieniężnego wsparcia, zwraca się prezydyum tegoż Towarzystwa z prośbą do ogółu, do wszystkich przyjaciół ludzkości o pomoc, bądź to przez liczne przystąpienie, bądź przez łaskawe datki. Członkiem może zostać każda nieposzlakowana osoba bez różnicy płci, narodowości, powołania i zamieszkania. Datek roczny dla członków zwyczajnych wynosi 3 korony, wspierających 10 koron (jednorazowy datek na zawsze 200 koron). Odpowiedzi na wszelkie zapytania i rad udziela: „Secretariat des österreichischen Liga zur Bekämpfung des Mädchenhandels“ w Wiedniu I; pośredniczy on również w interwencyach i przyjmuje datki członków i dobroczyńców. (Przy zapytaniach uprasza się o załączenie porta zwrotnego). W nadziei

że publiczność w Galicyi, skąd handel dziewczętami setki ofiar porywa, zechce zwrócić uwagę na działalność ligi, liczymy na skuteczne poparcie".

Prezydyum ligi austryackiej dla zwalczania handlu dziewczętami.

26 listopada 1902.

Przedstawicielką na Kraków Austryackiej Ligi dla zwalczania handlu dziewczętami naznaczoną została redaktorka naszego pisma M. Turzyma.

BOLESŁAW ŚMIAŁY.

DRAMAT W 3 AKTACH STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO.

Za punkt wyjścia weźniemy akt trzeci i ostatni dramatu, to, co ukazuje się królowi jako widzenie przyszłości, to, co jest teraz. Zatoczymy krąg daleki, dojrzymy, jak do obecnego stanu doszło i wrócimy do punktu wyjścia. Stan obecny, to posąg i trumna i opowieści. Jestto wynik; opowieści mówią o zapasach i zmaganiu się sprzecznych mocy czy dążeń. Co widać teraz, to wskazówka, że tu coś się działo, że raz na zawsze, fatalnie, zamknięto tu bieg rzeczy, skończono. Nic się nie kończy. Tu widocznie jeszcze coś się dzieje. Ten posąg i ta trumna zawierają w sobie dramat, są przerażające, tkwi w nich życie utajone, moc utajona. Zdarzeniem historycznem nie jest tu zabicie biskupa krakowskiego przez króla Bolesława Śmiałego, lecz to, co z tego wynikło, co jest. Otóż fakt ten (posąg i trumna, widome znaki panowania i władzy, zwycięstwa) można odczytać w sposób rozmaity (legenda); od tego jest wyobraźnia, której nie można narzucić niczego, która chce rzeczywistości, to znaczy nie tego, jak rzeczy się stały, ułożyły, lecz jak są. Ze zmagających się dwóch potęg, jedna widocznie wyszła zwycięsko. Znaki są pod ręką, można je widzieć. Lecz tak być nie musi. Za tymi znakami, za tymi pozorami kryje się rzeczywistość. Nie o bieg zdarzeń idzie (ten jest konieczny, fatalny), o tzw. prawdę historyczną, lecz o to, czem te siły są; do czego zmierzały, a do czego doszły.

Król Bolesław Śmiały chodzi po Wawelu i własnym oczom nie może uwierzyć. Co się tu stało? On u spodu, tamten w trumnie u góry, przez otwór widać sadzawkę i posąg. Pierwsza myśl, a więc pierwszy ruch, to dobyć miecza. Tak, i w ten sposób sprawa znowu odbyła się jak wówczas, albowiem król się nie zmienił. A na tem wszystko polega. I znowu będzie, jak było. I drugi i setny raz stanie się to samo; król inaczej nie postąpi, zabije bez względu na to, co się stanie. Takim jest człowiek mocny. Jak w „Wyzwoleniu" Konradowi z pod każdego stąpnięcia wyrasta dramat, tak Bolesław Śmiały za każdym razem uczyni tosamo. Wszystko jest przewidziane, zmienić cośkolwiek, znaczy przestać być sobą, wyrzec się siebie, sławy. Idzie tylko o to, żeby być sobą do końca, żeby kruszyć wszelką moc obcą do końca,

żeby skruszyć świat cały i umieć znieść następstwa. Król mówi o sprawach przyszłych, jak gdyby już dawno się stały, rzeczy dawno minione dzieją się teraz. Ten król wszystko wie, wie, co będzie. W rozmowie z bratem Włodzisławem wypowiada wyroczne słowa: „Ja sam siebie, zdradzę“. Zdradził się istotnie: zaczął pamiętać; zaczął pamiętać o tem, co uczynił, czyli zapomniał o sobie.

Lecz, kto zwyciężył? Król się nie zmienił, moc jego nienaruszona, nikt go nie pokonał (pokonać go może tylko własna jego moc), więc to trwa ciągle, tylko nikt nie widzi. Trzeba zobaczyć. Na znak dramaturga wszystkie pozory znikły i król Bolesław Śmiały stoi w swojej świetlicy na Wawelu. Teraz. Dla widza, jak gdyby było wówczas. Widz bowiem pamięta, widz... zna historyę. Król Śmiały nie nie pamięta, nie ma na to czasu, wołają go dzieła. Nic nie pamięta, o nic się nie troszczy. Nic nie było, wszystko jest. Oto biskup nadchodzi z całym orszakiem swym ponurym i rzuca nań klątwę. W umyśle mocnego króla biskup i klątwa, to jedno, jak u niego samego Bolesław i miecz, to jedno. Ktoś rękę podnosi na króla! Król go zabija. To jest oczywiste. Lecz nagle zaczyna pamiętać, zaczyna myśleć rzeczy nie swoje. Dramat zdąża fatalnie ku temu, co jest teraz. Twórcą stanu obecnego jest sam król Bolesław. Dramat musi się odbyć, jak się odbył, nie leżało w mocy niczyjej pchnąć go innym torem, dzieło tkwiło w istocie Bolesława Śmiałego.

Wyspiański nie wychodzi ani z legendy ani z historyi, (tej drugiej legendy), lecz z tego, co widzi, co widzi sam król Bolesław. Więc z żywej duszy Bolesława. Ten dramat cały odbywa się w duszy d z i s i e j s z e g o Bolesława Śmiałego. Jakie jest znaczenie tego, co widzi. Są to oznaki skrzywienia się mocy, wyprężonej ku stworzeniu dzieła własnego, królewskiego, moc ta stworzyła dzieło obce, Sławę obcą. Wysiłek Bolesława był bezowocny, ale użyteczny. Zachował duszę, Sławę własną, królewską. Nie zabić biskupa, byłoby dziełem praktycznem, lecz obcem, byłoby śmiercią króla, śmiercią duszy. Śmiały nie zna śmierci. On i ją zabije. W ten sposób czyn bohaterski jest zachowaniem duszy, lecz na ziemi dlań miejsca niema. „Sława twoja, śmierć u ludzi“. Albowiem są jeszcze ludzie. — A więc rezultaty wszelkie, które mamy przed oczyma, są złudą i pozorem. Są przypadkowe („Są konieczne i przypadkowe“, jak mówi Konrad w „Wyzwoleniu“). Znaczenia też nie mają żadnego, o rzeczywistości nie mówią żadnej.

Niektóre sytuacye są historyczne, inne, które dały początek nowemu biegowi rzeczy, nie są historyczne wcale. Jedne i drugie zanotowała kronika pod rozmaitem mianem. Nowy bieg rzeczy, chociaż nowy, nie musi być historyczny, nie ma znaczenia żadnego. Dla wyobraźni wszystkie są historyczne, czyli mają znaczenie, są dramatyczne. Są to sytuacye, w których dokonywa się zmiana, w których dokonywają się skrzywienia i prostowania woli, w których coś powstaje, coś się zatraca (nie ginie!), w których jawi się duch. Nie idzie o rezultaty, o bieg nowy. Wiemy, że to przypadkowe. Ani też o po-

wtarzanie się sytuacyj, te nie powtarzają się nigdy, a trwają zawsze, ponieważ się nie kończą. Rezultaty kończą pozornie, zamykają przed czasem. Sytuacye nie powtarzają się nigdy, trwają ciągle pod zmienionem mianem. Tem się różnią. Konflikt króla i biskupa jest ciągły. I będzie zawsze. Zmienić tego nie można. Stać w samym środku zdarzenia i kierować siłami i wybrać drogę jedynie użyteczną, wszechstronną więc, taką, iżby sytuacya nie mogła powtórzyć się nigdy, jest rzeczą przytomności umysłu, która chwyta w lot znaczenie historyczne obecnej chwili, która pod zmienionem mianem umie dostrzec sytuacyę „dawną", to znaczy jedyną. Przytomność umysłu nie korzysta z doświadczenia ani nie przewiduje, objawia się czynem właściwym. Czyli umie znaleźć się w położeniu. Rezultaty takich starć, takich chwil historycznych stwarza zawsze praktyczność. Zmiany, jakie nastają, są pozorne, znaczą się nowym rozdziałem władzy, moc się zatraca niezmiennie, mimo przytomność, która kazała jej być sobą.

Bolesław Śmiały w dramacie Wyspiańskiego umie chwytać w lot znaczenie chwili. Znaczenie historyczne, królewskie, swoje. Wszelkie sprawy ogólne błyskawicznym pędem staczają się w jego własną osobę. Biskup wyklinający króla, to nie innego nad bunt przeciw królowi. Bunt należy karać śmiercią. Przytomność Bolesława w stosunku do zdarzeń zrównywa wszystko, usuwa zasłony, nazwy, chwyta rzecz samą. Bolesław jest człowiek mocny.

Fakty historyczne, to znaczy, wyniki starć, postępków, czynów, nie mają więc żadnego znaczenia. Wszelkie konflikty rozstrzygnięte są raz na zawsze, nie w swoim przebiegu, który może być właściwy, albo niewłaściwy, gdy działa istota słaba, lecz w rezultatach. Moc zwycięża, lecz powodzenie, rezultat, rządzi światem. Bolesław Śmiały nie ulega, bohater nie ginie, moc jest odwieczna. Walka może rozpocząć się na nowo. Wynik jej już zapisano. Przytomność umysłu działa bez względu na wynik, idzie w samą śmierć, do absurdu. Bolesław śmiały zwycięży zawsze, lecz przygniecie go trumna biskupa. Zdarzenie historyczne, w którem moc Bolesława się objawiła: zamordowanie biskupa nie wpływa na dalsze zdarzenia. Zmogły się z sobą dwie potęgi, zwyciężyła moc Bolesławowa, zapanowała moc biskupia. Zdarzenie więc nie rozwiązało się wcale w sposób jedyny. Stan obecny, który bieg rzeczy zamknął niewłaściwie, jest wyrazem legendy, czyli oceny zdarzenia tego lub owego człowieka. Rzeczywistości w tem niema żadnej. Zdarzenie więc trwa ciągle. Dramat Wyspiańskiego jest dramatem współczesnym, obecność jest wszechwładna.

Stosunek umysłu ludzkiego do zdarzeń przeszłych stoi złudzeniem. Dla umysłu przytomnego zdarzeń przeszłych niema. Gdzie mowa o zdarzeniach minionych, zawsze górę biorą oznaki, pozory. Przeszłość dla umysłu przytomnego jest obecnością. Obecność przeszłością. Mogą w takich zdarzeniach rozmaite działać sposoby, może w nich człowiek odmiennym wyrażać się językiem, lecz zdarzenie jest tosamo, żyje. Nazwę ma inną. Bolesław Śmiały,

jak powiedziano, błyskawicznie zrównywa wszelkie nazwy. „Moc moja z nieba“ i „Zbrodnię Bóg ze mną znosi“: przytomność nie opuszcza go ani na chwilę także w stosunku do wszystkiego, co jest uświęcone w umysłach ludzkich. Wszystko to podciąga pod jedno: rzecz obca, a więc szkodliwa. Wszelkie sytuacye, różnorodne i powikłane, są dlań sytuacyą jedyną, która trwa ciągle, jak jego moc trwa ciągle, więc objawiać się musi jednolicie; musi odpychać bezwzględnie moce obce, musi pamiętać o sobie, wierzyć w siebie (nie jest to pamiętanie rzeczy wrażonej w pamięć), czyli kruszyć wszystko, co jemu zawadą. Jemu, to znaczy wszystkim. Moc jest samowładna i wszystkich ogarnia. W umysłach ludzkich muszą powstawać wzburzenia przeciw takiemu „samolubstwu“, zwłaszcza, gdzie idzie o uczucia, bóle i radości, czyli o moc przeciwną. (Tej mocy przeciwnej rzeczą jest odeprzeć „wroga“, nie zaś „wroga“ rzeczą jest oszczędzać). I o rzeczy uświęcone, ustalone w umysłach powodzeniem, czyli długiem panowaniem. Dla człowieka mocnego niema drugiej mocy. W nim jednym wyczerpuje się wszystka. Człowiek taki wie o tem (jest przytomny), nie tą wiedzą powszechną rzeczy obcych, lecz swojem jestestwem. I dlatego kruszy przeszkody bezwzględnie. Stąd niedaleko do pojęcia króla jako żywego ducha narodu. Kraj, naród i osoba króla są jednem. Cokolwiek staje na zawadzie osobie króla, musi być usunięte. Moc jest despotyczna. Ten król Śmiały umie wyczuwać mieczem na każdym kroku, co dobre, co szkodliwe. Historya określa takie sprawy jako „myśl polityczną“. Lecz odłącza ją od człowieka. W połączeniu z człowiekiem myśl taka zupełnie inaczej wygląda, albowiem działanie zależy od jego istoty. Historya bardzo często nie ma poczucia... stylu.

W otoczeniu królewskiem bardzo często i ciągle powtarzają o zbrodni, o grzechu. Niemal wszyscy, za wyjątkiem Krasawicy. Zbrodnia, grzech — znowu rzeczy obce. Przez cały ciąg dramatu Bolesław usuwa te rzeczy jedynym swoim sposobem: mieczem. Zbrodnia, grzech, to nie żadna rzecz, tego nie można chcieć. Rapsod opowiada o pragnieniach, tęsknotach, zgnębieniach. Takich spraw Bolesław nie rozumie. „Czego chcesz“? Rapsod nie wie, czego chce, nie chce niczego, pragnie śmierci. Król nie każe go zabić, ani nie zabije go sam, to nie jego rzecz. Rapsod mówi o zbrodni królewskiej. Król dobywa miecza i zabija go natychmiast. Wroga należy usunąć. Przytomność umysłu znowu nie opuściła go na chwilę. Czyn króla użyteczny nie może być zbrodnią. Cały dramat w ten sposób jest jedną jedyną chwilą, jedyną sytuacyą, w której jawi się moc Bolesławowa.

Lecz nagle przytomność jęła pamiętać, jęła przewidywać. Bohater przestał być sobą, moc się załamała, pozwoliła obcym czynnikom wtargnąć bez oporu, pozwoliła światu sobą rządzić. Bolesław nie rozpoznał sytuacyi, przytomność umysłu go opuszcza: nie zabił w należytym czasie dzieła biskupiego. Nie usunął z głów ludzkich tych obcych rzeczy, które mocy królewskiej stały na zawadzie. Z głów ludzkich to znaczy ze swojej własnej przedewszy

stkiem. Nie wybrał drogi wszechstronnej (na ziemi można dążyć tylko w jednym kierunku); wszystko się powtórzy, i odbędzie się taksamo. Bolesław Śmiały czynił i wiedział, co czyni, wiedział znaczenie swego czynu. Inni nie wiedzieli. A zawsze są jeszcze inni, czyli inne znaczenia. Zresztą... wybrać drogę taką, iżby sytuacya nie powtórzyła się nigdy, to śmierć oczywista i nieodwołalna. Moc musi się zatracać i powracać nieustannie. „Dola moja niezmienna“, z takim okrzykiem na ustach, z takim napisem na mieczu, Bolesław Śmiały idzie przed siebie, dokądkolwiek bądź. Jest „tym, który na wszystko się waży„. A idzie o to, żeby ustawicznie miał na coś się ważyć.

Należy przyjrzeć się bliżej „konfliktowi“. Można zauważyć, że konfliktu żadnego tu niema, albo też, że jest konfliktów bardzo wiele, jeżeli każdą przeszkodę, jaką usuwa Bolesław, nazwiemy konfliktem. Ludzie mocni tego rodzaju konfliktów nie znają, konfliktów z światem zewnętrznym, który zmiatają swoją mocą. Bolesław Śmiały usuwa biskupa bez wahania, taksamo jak zabija Rapsoda, taksamo jak karze niewierne żony. Taksamo jak usuwa... siebie samego... Moc może popaść w konflikt z drugą mocą. Konflikt odbywa się tu w głowie Bolesława Smiałego. Biskup jest martwy od samego początku (na witrażu Wyspiański przedstawił go w trumnie). Bolesław jest żywy, jednolity, cały, dusza i ciało. Biskup jest systemem. Bolesław mówi językiem własnym, biskup mówi językiem obcym. Biskup posługuje się środkami, które nie z siebie bierze, Bolesław używa siebie samego, który jest duszą i ciałem. Niema tu więc mowy o zmaganiu się dwóch potęg, z których jedną jest biskup. Potęgi zmagają się w głowie króla, którego przytomność i tu nie opuszcza, albowiem, pozbawiony miecza, przeklina Boga. Lecz wówczas już się był rozłamał, wzięły w nim górę czynniki obce.

Upadek króla Bolesława jest nie wiedzieć którem z rzędu zwycięstwem ducha martwego, obowiązku martwego nad duchem żywym, obowiązkiem żywym (albowiem Bolesław Śmiały, na sposób bohaterski, na sposób człowieka wolnego czyni tylko to, co jest j e g o obowiązkiem), panowaniem systemu nad życiem. W takiej sytuacyi dokonywa się fatalne, nieuchronne skrzywienie mocy, które powtarza się z dnia na dzień, dokonywa się na każdym kroku, w każdej chwili. Dokonało się raz na zawsze, czyli ciągle dokonywać się będzie. Chcieć uchylić biegu, znaczy zdążać ku śmierci. Ludzie mocni idą w śmierć, tego chcą. „Sława twoja, śmierć u ludzi“. — To zmaganie się dwóch potęg, spierających się o władanie nad światem, a z których jedna jest mocą wolną, druga mocą niewolną, przedstawił Wyspiański już w innych zdarzeniach dramatycznych. Przypomnieć należy scenę „Legionu“ np., w której Brutus zabija Cezara. Moc wolna, bohater, czyli duch wolny postępuje zawsze właściwie, nawet we śnie, w gorączce, gdy przywidzenia w obłęd wiodą myśli. Zabija słowem, i zabija mieczem. Cały jest wyprężony ku jedynej rzeczy, ku rzeczy użytecznej, ku sobie. Rzecz użyteczna niezawsze jest owocna. Wszystko inne jest zdradą i śmiercią musi być karane.

Konflikt nie zasadza się również na przeciwstawieniu mocy pogańskiej i chrześciańskiej. Biskup nie jest „przedstawicielem“ chrześciaństwa. Zresztą oba tu pojęcia są niepotrzebne, nie określają rzeczy przeciwnych, sprzecznych. Niema żadnej różnicy między chrześciaństwem a pogaństwem, jako żywym duchem. Jest różnica między systemami. Pogaństwo bowiem także jest systemem. Moc, człowiek, jest jedna: chrześciańska czy pogańska, to jedno. Święty Franciszek z Asyżu, to człowiek mocny, chrześcijański. I z taką mocą należy zestawić Bolesława Śmiałego. Czyny ich są jednakowe. Sposób jest inny, styl jest inny. Historya musi rozpatrzeć nieco szerzej pojęcie stylu.

„Bolesław Śmiały“ Wyspiańskiego jest dramatem historycznym, to znaczy nie z przeszłości czerpanym materyałem, lecz obecnem życiem, obecnym, żywym człowiekiem. Inne dramaty historycznymi zwane są tylko materyałem. Dramat Wyspiańskiego nie jest przeszłością, przeniesieniem się w przeszłość, w epokę, lecz jest zawsze, więc i dzisiaj. Przytomność umysłu, Wyspiański, go odkrywa. Sposób działania zależny jest od epoki, od otoczenia, od koloru nieba i od ziemi, duch jest ciągły i sposób własny zawsze znajduje. *St. Lack.*

W. C. MORROW.

GRA HONOROWA.

Czterech z pośród pięciu mężczyzn, siedzących koło zielonego stolika w kajucie „Wesolej Czarownicy“, spojrzało na piątego twardym, nieubłaganym wzrokiem pogardy. Ów zaś samotny nie mógł wytrzymać tego strasznego spojrzenia. Głowa mu opadła, a oczy spoczęły na kilku kartach, w których roztargnioną dłonią przebierał; i tak w przytępieniu zupełnem czekał na wyrok.

Najsamodzielniejszy z pośród czterech machnął wzgardliwie w stronę zgnębionego i w ten sposób przemówił do innych:

„Panowie, żaden z nas chyba nie zapomniał warunków umowy. Zanim ruszyliśmy w drogę, uchwaliliśmy, że tylko ludzie cnót nieposzlakowanych mogą brać udział w niebezpieczeństwach i możliwych korzyściach tej wyprawy. Chcąc bowiem odnaleźć i zagarnąć wspaniały skarb, którego szukamy, i który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa znajdziemy, musimy z całą gotowością szykować się na potyczki z dzikimi żołdakami meksykańskimi i marynarzami i musimy wziąć na się wszystkie inne niebezpieczne przypadłości, które znane są wam dobrze. Jako najemca tego okrętu i przywódca tej wyprawy, przystąpiłem do wyboru współtowarzyszy z niezwykłą ostrożnością. Byliśmy i jesteśmy jeszcze ciągle równi, a moje przywództwo, należne mi jako sprawcy tej wyprawy nie daje mi żadnej wyższości, ani też

nie uprawnia mnie do większego działu w zdobyczy. Jednakowoż jako przywódca mam władzę; to też nie ściągając na się żadnych z waszej strony podejrzeń, za pomocą niejednego podstępu wypróbowałem mężność każdego z was. Gdyby nie okoliczność, że w tym celu wyczerpałem wszelkie rozsądne środki i, że w wszystkich z was z wyjątkiem jednego, odkryłem ludzi zaufania godnych, nigdy nie odsłoniłbym planu, który wykonywałem w ukryciu“.

Tamci trzej, którzy dotychczas patrzyli na zgnębionego, utkwili w przywódcy wzrok, pełen wzburzonej ciekawości.

„Ostatecznym probierzem charakteru człowieka“, mówił dalej przywódca, „jest zielony stolik“. Ile tylko może być w nim słabości, czy to podłego skąpstwa, tchórzostwa, albo kłamliwości, okaże się tutaj niezawodnie. Gdybym był naczelnikiem banku, dowódcą armii albo kierownikiem jakiegoś wielkiego przedsiębiorstwa, nie inaczej wystawiałbym na próbę charakter podwładnych, a właśnie za pomocą szeregu partyi, granych oczywiście o pieniądze. Jest to jedyny, pewny probierz charakteru, a mądrość wieków wynalazłszy go, nie pomyliła się wcale“.

Tu przerwał i rzucił wzgardliwe spojrzenie na zgnębionego mężczyznę, który tymczasem zebrał się na odwagę i spojrzał w górę; usiłował przytem zarówno okiem jak uchem pojąć filozofię swego sędziego. W wyrazie jego twarzy mięszały się strach i przygnębienie, które dziwnie marszczyły mu oblicze; patrząc nań, można było myśleć, że człowiek ten stoi przed trybunałem niezbadanej mądrości i nieubłaganej sprawiedliwości.

Lecz wzrok opadł mu natychmiast, gdy tylko zetknął się ze spojrzeniem sędziego, a drżąca warga dolna zwisła mu bezwładnie.

„Zgodziliśmy się wszyscy“, mówił dalej z naciskiem przywódca, „że towarzysz, który dopuści się oszustwa lub zdrady w najdrobniejszych nawet rozmiarach, poniesie karę, którą wszyscy zaprzysięgliśmy wykonać. Część tej umowy, jak przypominamy sobie wszyscy, polega na tem, że człowiek, który okaże się winowajcą, pierwszy ma zażądać wykonania kary i, że gdy zaniecha ..... lecz tuszę, że zbyteczna wspominać tu o drugiej części umowy“.

Nastało znowu milczenie, a winowajca siedział cicho, ledwo dysząc. Karty wymykały mu się z palców i padały cicho na podłogę.

„Panie Rossiter“, rzekł przywódca do nieszczęsnego, głosem tak twardym i zimnym, że krew odeń krzepła, „czy może nam pan podać jaką myśl?“

Ów zaś potępieniec zmagał się w sposób nadludzki, żeby zapanować nad sobą. Takie zapasy jawią się tylko chyba pod szubienicą. Jeżeli zabłysł w nim chwilowy promyk nadziei wzbudzonej przelotnem postanowieniem obronienia się, to zgasł bezpowrotnie wobec srogich i nieubłaganych oczu, które wyglądały ku niemu z wszystkich rogów stołu. Niezawodnie toczyła się w nim zażarta walka, w której dusza mu się wiła bezsilnie. Jedynym jej

znakiem był przelotny rumieniec, który mu twarz okrasił. Po chwili i to przeminęło i widać było, jak powoli zstępuje nań spokój. Pogodził się z losem. Podniósł głowę i spojrzał stanowczo na przywódcę, i gdy to czynił, pierś mu się rozszerzała, a barki dumnej nabierały mocy.

„Kapitanie“, rzekł głosem zupełnie naturalnym, „czemkolwiek jestem, tchórzem nie jestem. Grałem fałszywie. Skutkiem tego zdradziłem zaufanie wszystkich. Warunki umowy znam dobrze. Proszę o łaskawe przywołanie zawiadowcy łodzi“.

Przywódca z niezachwianym spokojem wypełnił prośbę.

„Pan Rossiter“, rzekł do zawiadowcy łodzi, „ma do pana prośbę, ja zaś upoważniam pana do wypełnienia jej bez względu na jej treść“.

„Pragnę“, rzekł Mr. Rossiter do zawiadowcy łodzi, „abyś pan opuścił czółno i wsadził mnie weń, i abyś pan to czółno w jedno jedyne zaopatrzył wiosło i nic więcej ponadto“.

„Jakto“, zawołał zawiadowca łodzi, cały przerażony i patrzył z niechęcią to na jednego to na drugiego z obecnych, „ależ ten człowiek szalony! Na przestrzeni pięciuset mil nie ma lądu! Znajdujemy się w okolicach podzwrotnikowych; człowiek i czterech dni bez pokarmu nie przetrzyma, a morze pełne rekinów. Ależ to samobójstwo!“

Twarz przywódcy sposępniała, lecz zanim przywódca zdołał przemówić, Mr. Rossiter spokojnie zauważył:

„To moja rzecz, panie“; w głosie zabrzmiała mu nuta niezmiernie delikatna.

*   *
*

Ów człowiek w łodzi, z odkrytą głową i w odzieniu poszarpanem niemal na strzępy tak, że cały był wystawiony na żar piekącego słońca, w ten sposób mówił do czegoś, co widział tuż przed sobą we wodzie:

„Zobaczmy. Tak; zdaje mi się, że podróżujemy razem od czterech mniej więcej dni, lecz nie jestem zupełnie tego pewien. Widzisz, bez ciebie byłbym już umarł z osamotnienia. Powiedz! Czyś i ty nie głodny? Ja byłem głodny przed kilku dniami, teraz tylko pić mi się chce. Twoje położenie lepsze, ponieważ nie możesz zaznać pragnienia. A co do tego głodu — ha, ha, ha! Któż słyszał kiedy o rekinie, któryby nie był zawsze głodny? Och, wiem ja dobrze, co masz na myśli, mój towarzyszu, lecz na to jeszcze czasu dość. Nie chciałbym zrywać miłego stosunku, jaki teraz nas łączy. Czyli, że — widzisz, teraz dowcip nawet powiem — wolę stosunek zewnętrzny od zażyłości wewnętrznej. Ha, ha, ha! Wiedziałem, że się nie uśmiechniesz, chytry, stary łotrze! Jakiż chytry, cierpliwy z ciebie, stary rekin! Czy ty nie wiesz, że gdybyś nie miał tych niezgrabnych pletw, i tej strasznie swojskiej paszczy, gdzieś tam daleko na spodniej części ciała, i oczu, które tak dziwacznie daleko od siebie siedzą i, że gdybyś poszedł na ląd i puścił w za-

pasy swój dowcip z rozmaitymi zabawnymi gatunkami rekinów, jakich tam mnóstwo, to niezawodnie w krótkim czasie osiągnąłbyś stanowisko niezmiernie wysokie zwłaszcza, że masz tę wielką cierpliwość w pogoni za zyskiem pewnym i oczywistym? Czy możesz przedostać tę filozofię przez twardą skorupę twojej czaszki, przyjacielu?

„No, no, no! Nie odwracaj się tak dziwacznie i nie rób z siebie błazna tem rozdziawianiem miłej paszczy i olśniewaniem południowego słońca blaskiem własnego białego brzucha. Jeszczem nie gotów. Boże! jakże jestem spragniony! Powiedz, czy doznałeś kiedyś takiego uczucia? Czy widziałeś kiedyś oślepiające blaski, które mózg rozdzierają i czynią słońce czarnem?

„Nie odpowiedziałeś mi jeszcze na pytanie. Jestto pytanie warunkowe — tak, warunkowe. Wszak to chciałem powiedzieć, nie co innego. Warunkowe pytanie. Pytanie: tak, istotnie. Otóż teraz przypuśćmy, że byłbyś sobie takim miluchnym dzikim młodym rekinem, który ot zostawia matkę w trwodze niepewności, a sam oddaje się grze: schodzi aż do psów. Czy rekiny mięszają się kiedykolwiek z psami. Otóż to kłopotliwe pytanie, niewątpliwie. Rekiny; psy. Och, jakiż z ciebie nad wyraz śmieszny, wzniośle zabawny stary rekin! Strasznie milczący jesteś. Jakiż z ciebie mrukliwy stary łotr! Nigdy nie otwieraj dłoni dla pozorów.

„Nie inaczej, jeno zmięszał się z psami, a potem uszedł z domu, żeby wyjść na męża. Pomyśl tylko, rekin rzuca się w świat, żeby wyjść na ludzi? a potem — powolutku! Nie rozdrażniaj się zbytnio! Ja się tylko zachwiałem a wcale z łodzi nie wypadłem. I niechaj moje ruchy cię nie drażnią. Zamknij tę paszczę, przyjacielu; nie dobrze ci wcale z tym uśmiechem. Jak tedy mówiłem — oh!...

„Jak długo byłem w tym stanie, stary duchu? Dobrze to mnie, że nie nauczono cię wdrapywać się na łódź, gdy człowiek w takim znajduje się stanie. Czy ty byłeś kiedy w takim stanie, towarzyszu? Ot, widzisz, to tak: bif! Ogromne czerwone ognisko syczy ci wgłowie. Potem — potem — no tak, po chwili z tego wychodzisz, a w głowie czujesz, że świdruje ci niesłychanie dziwaczny i straszliwie zakrzywiony hak; a w powietrzu skacze ci na wszystkie strony milion białych ognistych pijawek. Nigdy nie zachodź na tę drogę, przyjacielu, jeżeli tylko możesz zdala być od niej. Lecz ty nie zaznałeś nigdy pragnienia i nie możesz nigdy go zaznać. Zobaczmy. Słońce stało oto tam, kiedy ów czerwony płomień uderzył, a teraz stoi oto tu. Około trzydziestu stopni. Więc byłem w tym stanie blizko dwie godziny.

„Gdzież są owe psy? Przychodzą — li one do ciebie, czy też ty do nich zachodzisz? To zależy. Powiedzmy teraz, że miałeś kilku przyjaciół, którzy chcieli wyświadczyć ci przysługę; chcieli cię postawić na nogi i zrobić z ciebie człowieka. Wyszukali dokładnie położenie prawdziwego skarbu przedziwnego na jakiejś wyspie Oceanu Spokojnego. Dobrze. Wiedzieli oni że posiadasz niektóre z cnót potrzebnych dla takiej wyprawy — zuchwałą,

nieustraszoność, śmiałość rozpaczliwą — coś takiego. Rozumiesz, przyjacielu. Otóż wszyscy składali przysięgi tak długie jak twoje nogi — tak długie jak — och Boże! Pomyśl, rekin z nogami! Ha, ha, ha! Długie jak twoje nogi! Och Boże! Nie pamiętaj mi tej lekkomyślności, lecz muszę śmiać. Ha, ha, ha! Och Boże!

„Wszyscy przysięgli — ty i inne rekiny. Bez kłamstw; bez oszustw; bez krętactw. Skoro tylko pierwszy z brzegu się poślizgnie, ma zawołać natychmiast zawiadowcę łodzi i ma się kazać wysłać na chybił trafił z jednem gołem wiosłem i niczem ponadto. I wszystko to, przyjacielu, po złożeniu świętych przyrzeczeń matce, Bogu, sobie i przyjaciołom, że będzie wiernym i uczciwym rekinem. I nie to gorejące słońce, które cię osmala i pokrywa pękającymi wrzodami, a zamienia aż szpik w kościach na stopione żelazo, a krew na kipiącą lawę — nie słońce cię boli; a głód, co wnętrzości ci szarpie w łachmany, i pragnienie, co zamienia ci gardło na komin buchający czerwonem zarzewiem, i oślepiające płomienie czerwonego ognia w głowie, i ta martwota dwugodzinna na dnie łodzi, i milion ognistych pijawek, strzelających przez p owietrze — żadna z tych przypadłości nie boli tak bardzo jak rzecz nieskończenia głębsza i okrutniejsza — oto złamanie wiary matce, Bogu, sobie, przyjaciołom.

„Otóż to boli, przyjacielu.

„Późno już, stary duchu; nie pora znowu wracać do początku i na nowo zaczynać, gdy śmierć cię już czeka i nie czas postanawiać być dobrym, gdy już nie można być złym. Lecz to nasza już sprawa, twoja i moja; a teraz wszak nie mamy się zastanawiać nad użytecznością dobroci. Lecz nie podoba mi się ten uśmiech w twojem spojrzeniu. Mam tylko jedno wiosło i z ochotą je skruszę na twoim łbie nieszczęsnym, jeżeli na cal bliżej podejdziesz.

„Aha! Myślałeś, że się przechylę, co? Widzisz; gdy zechcę, mogę stać mocno i twardo. Lecz nie podoba mi się ten uśmiech w twoich oczach. Nie wierzysz w nawrócenie konających, co? Marny z ciebie pies; podły nikczemny pies wyrzutek. Szydzisz z człowieka, który oświadcza, że może i chce być raz nareszcie uczciwym i stanąć przed Stwórcą pokornie; lecz ciągle jako człowiek jeszcze. Słuchajże więc, przyjacielu, zobaczymy, kto z nas dwóch jest przyzwoity i uczciwy. Staw swoją mężność przeciw mojej, i staw swoje życie na swoją mężność. Zobaczymy, kto znas jest uczciwszy, albowiem, powiadam ci, Mr. Shark,*) że teraz zagramy o życie i cześć.

„Podejdź bliżej i bacz, jak rzucę. Nie chcesz? Boisz się wiosła? Ty zjadliwy, chytry tchórzu! Jenoby ci wiosło czaszkę zgruchotało, a byłbyś raz nareszcie przyzwoitym rekinem. Widzisz ten bilet wizytowy, łotrze?

*) Shark- rekin; tyle, co: panie rekinie.

Patrz, jak go podnoszę w górę. Jest tu coś wydrukowanego na jednej stonie; to moje nazwisko, to ja. Druga strona jest czysta; to ty. Otóż teraz wrzucę to do wody. Jeżeli padnie nazwiskiem do góry, wygrałem ja; jeżeli padnie stroną czystą do góry, wygrałeś ty. Jeżeli wygram ja, ja zjem ciebie; jeżeli wygrasz ty, ty zjesz mnie. Czy zgoda?

„Poczekaj". Widzisz, że mogę rzucić kartę w ten sposób, aby padła ku górze, którą zechcę stroną. To nie byłaby gra czysta. Ostatnia gra w mojem życiu musi być uczciwa. Więc zaginam jeden koniec po jednej stronie i jeden koniec po drugiej stronie. Rzuć w ten sposób zagięty bilet, a żaden żywy rekin, czy ma nogi czy tylko ogon, nie odgadnie najpierw, którą stroną odwróci się ku górze. Jest to więc gra równa, stary druhu, i ona to rozstrzygnie dobrze nieporozumienie które panuje między nami od czterech dni — nieporozumienie długości dziesięciu czy pietnastu stóp.

„Pamiętajże sobie: jeżeli ja wygram, masz ty podejść pod czółno, a ja mam cię zabić i zjeść. To mnie może utrzyma przy życiu, aż ktoś mnie wyratuje. Jeżeli ty wygrasz, mam ja wychylić się z łodzi, a wówczas masz ty mnie zjeść. Pojąłeś grę? Dobrze więc, oto idzie o życie i śmierć. ... Ah! Wygrałeś ty, a to jest gra honorowa".

*

* *

Wielki parowiec, ciągnący za sobą smugę czarnego, skłębionego dymu szybko zbliżał się ku kołyszącej się łodzi; albowiem dano o niej znać z bocianiego gniazda; parowiec skutkiem tego nadpływał z pomocą. Kapitan stojący na pomoście, ujrzał przez szkła dzikiego, niemal nagiego człowieka, czyniącego najdziwaczniejsze ruchy i znaki potykającego się i jakby igrającego z wahaniem się czółna. Kiedy okręt podpłynął już na bardzo niewielką odległość, kapitan dostrzegł, jak człowiek w czółnie rzucił kartę do wody, a potem złowieszczo wyprostował się i stał sztywno tak, że co do znaczenia tej podstawy nie mogło być żadnej pomyłki. Zaświstał więc z całych sił. Człowiek w czółnie zerwał się nagle i odwrócił się, żeby ujrzeć nadciągający statek. I zauważył pospieszne przygotowania koło spuszczenia czółna. Stał nieruchomo i przyglądał się dziwnemu zjawieniu, które jakby wyrosło z oceanu.

Czółno stanęło na wodzie i ruszyło ochoczo naprzód.

„Naprzód, co sił, chłopcy, bo człek ten szalony i chce się rzucić. Olbrzymi rekin czai się nań o kilka kroków, a jak tylko dotknie się wody, już po nim."

Marynarze wiosłowali z całych sił i krzyczeli na kołysającego się mężczyznę i ostrzegali przed rekinem.

„Poczekaj chwilkę", wołali, „a zabierzemy cię na okręt".

Zdawało się, że zamiary tych ludzi wreszcie przedarły się do mózgu nieszczęśliwego. Wyprostował się jak mógł i przybrał postawę pełną niezgrabnie udanej godności i ochryple zawołał. —

„Nic; zagrałem i przegrałem; uczciwy człowiek uiszcza się z długu honorowego".

I z takiem jaśnieniem w oczach, jakie zjawia się u tych, którzy najcudowniejszą ze wszystkich przeniknęli tajemnicą, skoczył do morza.

O PAMFLETACH.

Mówić o pamfletach, znaczy mówić o działaniu dzieł sztuki na umysł ludzki. Jest to dziedzina bardzo rozległa. Możnaby zadać pytanie, co nie jest pamfletem dla umysłu pozbawionego własnej mocy, pogodności, takiego, który z równą swobodą odnosi się do tworów obcych i myśli, jak do swoich własnych. Sprawa ma się tu jak w stosunkach człowieka do człowieka. Wrażliwości ludzkie są zmienne, przechodzą różne koleje; nie rozwijają się, lecz rozszerzają swą powierzchnię z jednej, uszczuplają z drugiej strony. Uszczuplają, ponieważ jest to środek obr. ny przeciw niepowołanym wdziercom; wrażliwość zbyt szeroka stoi otworem dla śmierci również. Wrażliwości starają się oprzeć swoją istność nie na zmienności, lecz na stałości. Do tej stałości zdążają, dojrzewają. Stałość ta może być siłą i może być słabością. Wrażliwości dojrzewające porzucają jakąś pewność dla drugiej pewności. Są wyłączne. Mają skłonność wchłaniania wszelkich podniet w sposób osobisty, moralny, jakby skierowanych ad hominem. Mięszają się tu pojęcia moralne i estetyczne bezładnie, rozdźwięcznie. Nie są jednością. Pewna ocena zdarzeń i opinij przeważa zawsze — wrażliwość dojrzewająca ma skłonność do ascezy, do potępiania, więc niszczenia pierwiastków uznanych za złe. Żywi nienawić i pogardę dla siebie samej, dla poprzedniej stałości lub dla obecnej. Zbyteczna dodawać, że są to zawsze rzeczy zewnętrzne, oddziaływanie na siebie samego przez u n i k a n i e, przez usuwanie lub przyjmowanie pewnych oznak dla przekształcenia duszy. Wrażliwość taka nie jest artystyczna. Można jednak znaleźć w literaturze, bardzo często, pisarzy, którzy takich umysłów szukają dla siebie, dla swoich dzieł. Nietzsche gdzieś mówi, że kogo nie dotknął do głębi, kogo nie ubódł i nie ukłuł każdy wyraz jego książki, ten go nie zrozumiał. Jest to szukanie umysłów, które same kłuć się nie umieją. Niektórzy istotnie, czytając lub patrząc, popadają w stany gniewne, nienawiść w nich kipi i pogarda i żądza zemsty na sobie lub na drugich. Gest czai się i rysuje natychmiast. Praca takiego umysłu daleka jeszcze od „bezinteresowności" — umysł taki przyjmuje i uznaje dzieła, które pociechą są lub naganą, „myślą, wedle której postępować należy". Umysł taki uznaje tylko pamflety. Umysły całe, które opierają się na zmienności (— przecież się... opierają!), przyjmują bezwzględnie.

Pamflet, jak widać, nie jest tu rodzajem literackim, jest ideą: — zawiera więc w sobie całości: dobro i zło złączą się tu w jedność: oddziaływanie dobre czy złe zawsze jest oddziaływaniem, wytrącaniem z równowagi, wprowadzaniem obcych pierwiastków w umysł dziewiczy i nieświadomy, uśpiony i sennością swoją silny. — Oddziaływanie możliwe jest umysłu mocnego na umysł słaby. Umysł słaby nie mocnieje skutkiem tego wcale. Mocy udzielać nie można, można darzyć oznakami mocy. W zetknięciu zaś z pogodnością pojęcie pamfletu traci na znaczeniu; pamflet tak zwany wraca do szaty swej dawnej, jest k s i ą ż k ą. W ogólnem znaczeniu: dziełem.

Pamflet bardzo często ma znaczenie społeczne. Ktoś pisze pamflet, znaczy, ktoś chce wyrządzić szkodę lub psotę, ktoś chce być użytecznym: oddziaływać na opinię społeczną. Tajemnica oddziaływania tkwi jednak w przypadku. Zamiary pisarza są płonne.

Wrażliwości są nie tylko zmienne, są rozmaite: nikt nie odgadnie, czy czyniąc cokolwiekbądź, nie szkodzi, nie chwali, nie drażni: nie przesadza. Wrażliwość jest siedzibą wszelakich przenośni; wrażliwości są różne, znaczy mają odmienny język. Umysły dojrzewające mają język, w którym wszystko jest przenośnią, który niszczy odległości, przesadza je i sam ginie. — Lecz nie należy patrzeć tu z punktu widzenia społeczeństwa, które dla utrzymania się, ustanawia wyraźne granice między dobrem a złem i, w którego oczach ponosi szkodę lub zasługuje na pochwałę człowiek zganiony lub pochwalony. Tymczasem i jeden i drugi są przedmiotem kalumnii. Pamflet jest sprawą między autorem a czytelnikiem. Można powiedzieć, że przeważnie czytelnik stwarza pamflet, nie autor. Autor pisze, być może, bez zamiaru, czytelnik odnosi się do dzieła jak do pamfletu. Czasem naodwrót. W końcu wszystko jest pamfletem i nic nie jest pamfletem. Nietzsche np. słuchał muzyki Wagnera, jak czyta pamflet człowiek dojrzewający. Arystofanes wydrwiwał Sokratesa, tego dziwacznego pamflecistę. Sokrates szukał umysłów słabych. Młodzież grecka jęła się gromadzić dokoła hasła Sokratesowego. Młodzież grecka przestała być sobą. O ile nie była mocną jak Platon, który nic z Sokratesem nie ma wspólnego. Arystofanes zwalczał Sokratesa własną jego bronią. Sokrates nie miał smaku, Arystofanes zwalczał go niesmakiem, czyli nietolerancyą. Arystofanes wiedział, że młodzież grecka weźmie oznaki mocy Sokratesa, a zbawi się mocy własnej, jeśli ją ma. Arystofanes widział stosunek Sokratesa do młodzieży w należytem oświetleniu: nie przyczyniał przesady żadnej. Młodzież słuchała Sokratesa jak się czyta pamflet, przyjmowała rzeczy obce, rozmijała się z sobą. Arystofanes nie zwalczał jednak doktryny, lecz o s o b ę Sokratesa. Na umysły słabe (mocne w zacieśnieniu, lecz słabe skutkiem rozszerzenia zbytniego) taki sposób oddziaływania jest jedyny. Arystofanes był mistrzem pamfletu. Zwalczał o z n a k i mocy Sokratesa — przeciw mocy bowiem Sokratesa był bezsilny. Doktryna Sokratesa i Sokrates, to była rzecz jedna. Nie dla przeważnej ilości młodzieży, która go słuchała. Arystofanes zwalczał młodzież, nie Sokratesa. Sokrates mógł się uśmiechać.

Z tego punktu widzenia wszystko, co działa — niejednolicie, jednostronnie, — a inaczej nie można — jest szkodliwe: stwarza niepewność, daje przewagę światu zewnętrznemu, zakrywa świat wewnętrzny, rzeczywistość. Człowiek pogodny, mocny czyta książkę, patrzy na obraz lub posąg, słucha muzyki, wchłania to wszystko jak napój, który wzmacnia, nie wydobywa na wierzch rozważań moralnych wyłącznie, estetycznych wyłącznie, na których dnie spoczywa próżność, niemal zawsze fanatyczna. Rzeczy te nie budzą w nim gestu: czy ten gest nazywa się okrzykiem zapału lub nienawiści, czy postanowieniem zmienienia rzeczy niezmiennych: własnej umysłowości. Nie można niczego usunąć, można tylko... zakryć i ukryć! Człowiek taki wchłania to wszystko niewinnie, czyli widzi rzecz, jak j e s t, nie zniekształca jej, nie szpeci — stwierdza. Można tu, zmrużywszy oczy, powiedzieć, że człowiek przechodzi ze stanu, w którym on wyłącznie ma słuszność (Raj) do stanu, w którym wszyscy, prócz niego mają słuszność (Piekło). Stan zaś, w którym przywraca się wartość rzeczom, w którym przywraca się prawa rzeczywistości — byłżeby Ziemią?! Na ziemi niema miejsca dla takich umysłów. Prawdopodobnie też stan taki jest przelotny. Oddziaływanie nie da się ująć w karby woli prawdopodobnie, gdy zwłaszcza się zważy zmienność, na której opierają się umysły mocne. Swoboda jest stanem przelotnym. Przemija, jak sama przelotność.

Gdzie mowa o „oddziaływaniu sztuki na życie“ np., zawsze sztuka jest pojęciem dalekiem, życie jeszcze dalszem, albowiem sztukę skazuje się w ten sposób na śmierć i razem czyni się z niej pamflet: narzędzie chłosty lub pieszczoty (to jedno) — a tego na innej można drodze dokonać. Wstrząśnienia i entuzyazmy nie należą do działania dzieł sztuki. Zresztą entuzyazm ludzki jest bardzo różny. U niektórych nie ukazuje się wcale, nie „przybiera formy“ —

więc go niema. Ludzi rozdziela najbardziej „forma“ entuzyazmu. — Ruchy zaś i gesty, wzbudzone w ten sposób zawsze mają cechy sztywności, są suche, są niemal zabawne (to nawet ich zasługa!): rozmija się w nich dusza z ciałem. Albowiem, mówiąc ich językiem, „wprowadzają w życie“ to, co już dziełem jest urzeczywistnione. Idea wyrażona jest już urzeczywistniona, stała się rzeczą (res, realnością), zmysłowością, chociażby nawet pokutę głosiła i skruchę. Słowo należy wówczas wprządz w szereg rzeczy i zjawisk, które zowią się rzeczywistością. Wszelki wysiłek, przełamujący ten naturalny pęd dzieła po własnej drodze, jest powtórzeniem, jest tłómaczeniem. Jest stwarzaniem rzeczy, które już są. Idee w ten sposób zatracają swoją ludzkość, nie są ludźmi. Idea radości np. staje się uciechą. Idea tańca staje się baletem, idea dramatu staje się teatrem. Idee realizują się w dziełach Może najprawdziwszym krokiem tanecznym jest nieruchomość: taniec ludzi poważnych. Na wazach greckich i płaskorzeźbach można widzieć grupy taneczne. Zgrupowania te mogą mieć podstawę „rzeczywistą“, prawdopodobnie jednak jej nie miały. Tańce, wykonywane przy uroczystościach, były improwizacyą, albo były kopią. Na wazach greckich taniec jest nieruchomością, przyrodą, duszą (nazwa jest obojętna). Tak samo teatr był improwizacyą. Charakter ten zachował nawet jeszcze do niedawnych czasów we Włoszech w tem, co znane jest pod nazwą Commedia dell'arte. Scena nie jest środkiem realizowania dramatu, lecz środkiem rozpowszechniania dzieła, w którem dramat jest urzeczywistniony. Jeżeli tam ludzie nie żyją, żadna moc ich na scenie nie ożywi.

Żądza urzeczywistniania jest żądzą wykonywania rozkazów, które niestety już są wykonane. Pociąga to czasem za sobą powikłania, w których łamią się istoty wytrącone z właściwej drogi Pogodność Greków, „rozmach“ ludzi odrodzenia, taniec Zarathustry, wszystko to zrealizowane raz na zawsze, błąka się po ziemi w gestach, które żadnej realności nie mają, nie są rzeczą, albowiem nie mają trwania. Taniec cechuje rodzaj umysłu, tak samo uśmiech i smutek — wykonywać ich nie można, ponieważ już są raz na zawsze. Wszystko inne jest kopią. Nie można urzeczywistniać, co już urzeczywistnione jest w swoim materyale, w dziele. Na obrazie postacie tańczące są nieruchomością, a tańczą (niekoniecznie dla tego tylko że ułożone są do ruchu tanecznego). Zdjęte z obrazu i wprawione w ruch taneczny, są niczem. Nieruchomość z pośród wszech rzeczy na świecie jest najbardziej taneczna.

W tej żądzy urzeczywistniania, jak widać, tkwi tajemnicze oddziaływanie umysłów jednych na drugie. Jedne urzeczywistniają idee drugich już urzeczywistnione (w działalności) — co r z e c z ą jest u jednych, staje się cieniem u drugich. Cienie są miłe i zabawne, bez wątpienia. Umysły jedne biorą dzieła drugich za pamflety, biorą rzeczywistość za cień, w który życie tchnąć należy. W ten sposób wszelkie cywilizują się pojęcia. Jest to sprawa smaku.

* * *

Pamflet zatem nie jest tu rodzajem literackim. To, co powszechnie nazywa się pamfletem — w sprawach politycznych, społecznych, — zajmuje się przyszłością, więc tem, czego niema. Dzieło sztuki zajmuje się rzeczywistością, tem, co jest niezmienne. Pamflet nie widzi rzeczy, jak jest, lecz jak będzie. Ponieważ pamflet polityczny nie zajmuje się rzeczywistością, więc należy wszystko urzeczywistnić, należy budować dla przyszłych zmian.

St. Lack.